

Przyglądajmy się Ukrainie

Unieważnienie przez Konstantynopol podległości ukraińskiej Cerkwi wobec Moskwy może mieć równie doniosłe skutki historyczne i geopolityczne, co kwestia stowarzyszenia Ukrainy z Unią Europejską w 2013 r. czy amerykańska pomoc wojskowa dla Kijowa – pisze prof. Marek A. Cichocki w felietonie na łamach „Rzeczpospolitej”.

Zerwanie wszelkich stosunków przez rosyjską Cerkiew z patriarchatem Konstantynopola nie spotkało się z jakimś szczególnym zainteresowaniem na świecie ani nawet u nas w Polsce. Schizma w obrębie prawosławia stała się co najwyżej egzotyczną ciekawostką. Nie widząc już związku między religią i polityką ani jego historycznego kontekstu, nie rozumiemy wagi konfliktu między Moskwą i Konstantynopolem. A przecież jest to także część naszej własnej historii i geopolityki.

Konflikt jest dużą ideową porażką Putina, który anektując Krym w 2014 r., powoływał się m.in. na odwieczne rosyjskie prawa do półwyspu i wschodniej Ukrainy sięgające czasów chrystianizacji Rusi przez Włodzimierza Wielkiego w 988 roku. Jednak ukraińskie prawosławie znalazło się pod kontrolą Moskwy dopiero pod koniec XVII wieku w wyniku przegranej przez I Rzeczpospolitą wojny z Kozakami. Ta wojna miała wszystkie cechy wojny religijnej i przesądziła o losie Rzeczypospolitej, która okazała się niezdolna do uobywatelnienia ruskiego prawosławia. W konsekwencji Kijów został podporządkowany

na wiele wieków Moskwie, a prawosławie na Ukrainie oderwane od patriarchy w Konstantynopolu, centrum wschodniego chrześcijaństwa.

Nie widząc związku między religią i polityką, nie rozumiemy wagi konfliktu między Moskwą i Konstantynopolem

Obecne unieważnienie przez Konstantynopol podległości ukraińskiej Cerkwi wobec Moskwy może mieć równie doniosłe skutki

historyczne i geopolityczne, co kwestia stowarzyszenia Ukrainy z Unią Europejską w 2013 r. czy amerykańska pomoc wojskowa dla Kijowa. Pokazuje, że wbrew temu, co twierdzi dzisiaj Putin z Orbánem, Ukraina nie jest państwem upadłym, ale coraz bardziej niezależnym od Rosji państwem naszego regionu Europy. W tym kontekście zadziwia, jak mało o tym myśli współczesna polska polityka. Nasi „endecy” oraz okcydentaliści wspólnie lekceważą Ukrainę, uznając, że to nie jest nasz problem, albo sprowadzając go tylko do kwestii nacjonalizmu. Prometeiści też niewiele wnoszą do sprawy, traktując Ukrainę najczęściej jako obszar polskiego, „miękkiego” oddziaływania. Nawet tak popularni ostatnio na prawicy zwolennicy geopolityki, choć piszą dużo o Chinach, Rosji czy ewentualnie Białorusi i o znaczeniu dla Polski geopolitycznego pomostu między Bałtykiem i Morzem Czarnym, to kwestię Ukrainy też lekceważą.

Wygląda więc na to, że dla Polski Ukraina jest dzisiaj największym, niezdiagnozowanym wyzwaniem przyszłości.

Felieton ukazał się w dzienniku „Rzeczpospolita”